

HONORÉ DE BALZAC

EUGENIA GRANDET

Honoré de Balzac

Eugenia Grandet

«Public Domain»

de Balzac H.

Eugenia Grandet / H. de Balzac — «Public Domain»,

Tytułowa postać, Eugenia Grandet, to córka majątnego — choć skąpego — i poważanego w mieście bednarza. Uchodzi za świetną kandydatkę na żonę, o jej rękę starają się przedstawiciele dwóch rywalizujących, również możnych, rodów. Eugenia jednak w swojej niewinności nie jest zainteresowana ich staraniami. Zakochuje się dopiero w Karolu, bratanku Grandeta, oddanym przez ojca chcącego popełnić samobójstwo pod opiekę bednarza. Karol jednak musi wyjechać. Młodzi przysięgają sobie wieczną miłość, a Eugenia oddaje ukochanemu wszystkie swoje oszczędności. Po wyjeździe Karola ojciec chce się dowiedzieć, co córka zrobiła z majątkiem... Eugenia Grandet należy do cyklu Komedii Ludzkiej autorstwa Honoriusza Balzaka. Na serię składa się ponad 130 utworów, połączonych przez wielu powtarzających się bohaterów. Autor ukazuje człowieka niemalże jako przedmiot swoich badań obserwowany w różnych środowiskach. Ważnymi tematami Komedii Ludzkiej są finanse, obyczaje oraz miłość.

© de Balzac H.

© Public Domain

Содержание

Od tłumacza	5
Eugenia Grandet	7
Конец ознакомительного фрагмента.	27

Honoré de Balzac

Eugenia Grandet

Od tłumacza

Eugenia Grandet powstała ściśle sto lat temu, w r. 1833: to tak dojrzałe, zrównoważone dzieło wyszło spod pióra trzydziestoczteroletniego młodego człowieka. Balzac wchodzi w tym momencie w pełnię swej twórczości. Wyzwała się z rozczochanego romantyzmu, którego tyle jest jeszcze w epizodach *Historii Trzynastu*, i z obcego jego duchowi **swedenborgizmu**, i z polityki dydaktycznej podanej trochę na surowo w *Lekarzu wiejskim*. Coraz bliższy jest odczytania w sobie swej prawdziwej myśli twórczej, która niebawem buchnie w nim świadomością olbrzymiego dzieła *Komedii ludzkiej*. Już przedtem wśród dość nierównych jego utworów znajdowały się drobne klejnoty, takie jak *Proboszcz z Tours* (1832), ale *Eugenia Grandet* rozpoczyna szereg wielkich jego arcydzieł.

Powstanie tej powieści schodzi się z najpełniejszym i najszcześniejszym okresem życia osobistego pisarza, z pierwszymi upojeniami wielkiej miłości. Pisze *Eugenię* w chwili, gdy po kilkunastomiesięcznej korespondencji, ma się spotkać pierwszy raz ze swoją nieznajomą *Cudzoziemką*, Ewą Hańską. 9 sierpnia r. 1833 pisze jej do Nefchâtel:

„Pracuję obecnie nad *Eugenią Grandet*, która ukaże się w *Europe littéraire*, podczas gdy będę w podróży...”

Biuletyny o tej książce znajdujemy w dalszych listach:

„*Eugenia Grandet*, jeden z moich najbardziej skończonych utworów, jest w połowie. Jestem z niej bardzo rad. *Eugenia Grandet* niepodobna jest do żadnej z rzeczy, które stworzyłem dotąd. Począć *Eugenię Grandet* po *Ferragusie* – bez próżności, to jest dowód talentu”.

(9 października)

„*Eugenia Grandet* jest czarująca: dostaniesz ją niedługo w Genewie”.

(13 października)

„*Eugenia Grandet* to będzie duży tom. Zachowam dla ciebie rękopis. Są tam stronicie napisane w bólu. Należy do ciebie, jak ja cały”.

(12 listopada)

Są w tej *Eugonii* karty natchnione wprost stosunkiem do Ewy Hańskiej. I tak ładna scena, gdy Eugenia przynosi kuzynowi swój skarbczyk, jest reminiscencją tysiąca franków, z którymi ofiarowała się Ewa w czasie jednej z wielu katastrof Balzaka. „Aniele ukochany, bądź tysiąc razy błogosławiona za swoją kroplę rosy, za swoją ofiarę: jest dla mnie wszystkim i jest niczym. Sama widzisz, co to jest tysiąc franków, kiedy trzeba dziesięć tysięcy miesięcznie. Jeśli znajdę dziewięć tysięcy, znajdę i dwanaście. Ale byłbym chciał, odczytując ten rozkoszny ustęp twego listu, móc zanurzyć rękę w morzu, dobyć z niego wszystkie perły i usiać nimi twoje piękne czarne włosy...”

I wreszcie, tuż przed wyjazdem do Genewy, gdzie kochankowie mieli się spotkać po raz drugi:

„Jakże ja parskam, jak biedny niecierpliwy koń! Pragnienie widzenia ciebie rodzi we mnie rzeczy, które zwykle nie przychodzą mi do głowy. Poprawiam szybciej. Dajesz mi nie tylko siłę znoszenia trudności życia, dajesz mi i talent, a przynajmniej łatwość. Trzeba kochać, Ewo moja ukochana, aby opisać miłość

Eugonii Grandet, miłość czystą, olbrzymią, dumną! Och, droga, dobra, boska moja
Ewo, co za ból nie móc ci powiedzieć co wieczór robiłem, mówiłem i myślałem...”
(1 grudnia 1833)

Może te płomienne inwokacje, świadczące, ile samego siebie kładł Balzac w swoje najbardziej obiektywne na pozór utwory, ocieplą trochę posępne domostwo starego skąpca z Saumur. Co do reszty, odsyłam czytelnika do przedmów, którymi opatrzyłem trzydzieści kilka dotychczas wydanych tomów *Komedii ludzkiej*.

Warszawa, w marcu 1933.

Eugenia Grandet

Istnieją w niektórych miastach prowincjonalnych domy, których widok rodzi melancholię, podobną tej, jaką budzą najpocześniejsze klasztory, najbardziej jednostajne stopy lub najsmutniejsze ruiny. Może jest w owych domostwach wraz i cisza klasztoru, i ugór stepu, i szkielety ruin. Życie i ruch są tam tak spokojne, że obcy mógłby sądzić, że domy te są wręcz niezamieszkałe, gdyby nie spotkał naraz bladego i zimnego spojrzenia nieruchomej istoty, której w pół mnisza twarz wychyli się z okna na odgłos kroków nieznanego.

Te znamiona melancholii posiada fizjonomia pewnego domu w Saumur, na końcu stromej ulicy, która wiedzie przez miasto do zamku. Ulica ta, dziś mało uczęszczana, gorąca w lecie, zimna w zimie, miejscami ciemna, odznacza się dźwięcznością drobnego bruku, zawsze czystego i suchego, ciasnotą swej krętej kolei, ciszą domów, które należą do starego miasta i nad którymi wznoszą się wały.

Budowle te, liczące trzy wieki, są jeszcze mocne, mimo że zbudowane z drzewa; a różnorodność ich kształtów przydaje oryginalności tej części Saumur w oczach antykwariuszy i artystów. Trudno, mijając je, nie podziwiać olbrzymich belek, których rogi rzeźbione są w dziwaczne postacie i wieńczą czarną płaskorzeźbą parter większości tych domostw. Poprzeczne bale pokryte są łupkiem i rysują się błękitną linią na wątych murach takiego domu, zakończonego dachem w kształt gołębnika, uginającym się od lat, o gontach przegniłych i wygiętych od słońca i deszczu. Deseczki w oknach są zużyte i szerniałe, z zaledwie widocznymi delikatnymi rzeźbieniami i wydają się zbyt lekkie na ciemne gliniane doniczki, z których strzelają goździki albo róże biednej robotnicy. Dalej widać drzwi opatrzone olbrzymimi gwoździami, w których duch naszych przodków zaklął domowe hieroglify, niepodobne¹ do odcyfrowania. Jakiś protestant wypisał tam swoje credo albo jakiś stronnik ligi przeklął Henryka IV. Może jakiś mieszczanin wyrzył tam swoje godności, chwałę swego zapomnianego urzędu. Jest tam cała historia Francji. Obok jakiegoś trzęsącego się domu, na którym rzemieślnik uczcił swój hebel, wznosi się pałac szlachcica, gdzie na łuku kamiennej bramy widać jeszcze ślad jego herbu, skruszonego rozmaitymi rewolucjami, które od 1789 wstrząsały krajem.

Na tej ulicy mieszkania parterowe kupców to nie są ani sklepy, ani magazyny; entuzjasta średniowiecza odnalazłby tam warsztat naszych ojców w całej jego naiwnej prostocie. Te niskie sale, które nie mają ani szyldu, ani gablotki, ani witrażu, są głębokie, ciemne, bez żadnej zewnętrznej lub wewnętrznej ozdoby. Drzwi są grubo okute; górna ich część otwiera się do wewnątrz, dolna zaś, uzbrojona dzwonkiem, jest w ustawicznym ruchu. Powietrze i światło dochodzą do tej wilgotnej nory albo górą drzwi, albo też przestrzenią między sklepieniem, podłogą i przymurkiem, gdzie umieszczone są mocne okiennice, zdejmowane rano, zakładane wieczór i opatrzone żelaznymi sztabami. Przymurek ten służy za wystawę towaru.

Tu nie ma żadnej szarlatanerii. Zależnie od rodzaju handlu, wystawa składa się z dwóch szaflików pełnych soli i sztokfiszka, z paru paczek żaglowego płótna, lin, mosiądzu wiszącego u stropu, z obręczy wzdłuż muru lub kilku sztuk sukna na półkach.

Skoro wejdziesz, dziewczyna czyściutka, tryskająca młodością, w białej chusteczce, z czerwonymi rękami, porzuca swoją robótkę, woła ojca lub matkę, którzy przychodzą i obsługują cię wedle życzenia, flegmatycznie, uprzejmie lub opryskliwie, zależnie od swego charakteru, za dwa grosze lub za dwadzieścia tysięcy franków. Ujrysz tam handlarza klepek, siedzącego przed bramą i młynkującego palcami wśród pogwarki z sąsiadem. Na pozór ma tylko pospolite deszczki i parę paczek łąt; ale warsztat jego obsługuje wszystkich bednarzy w całym Anjou²; wie co do jednej sztuki, ile może być potrzeba beczek, kiedy zbiór jest dobry; promień słońca bogaci go, słońce go rujnuje: w ciągu jednego rana beczki warte są jedenaście franków albo spadają do sześciu. W tych stronach, jak

¹ niepodobny – tu: niemożliwy. [przypis edytorski]

² Anjou – Andegawenia; prowincja we Francji, której głównym miastem jest Angers. [przypis edytorski]

w Turenii, zmiany atmosferyczne regulują życie handlowe. Winiarze, właściciele ziemscy, handlarze drzewa, oberżyści, marynarze, wszyscy wypatrują promienia słońca; kładąc się wieczór spać, drżą, aby się nie dowiedzieli rano, że w nocy był przymrozek; boją się deszczu, wiatru, suszy, pragną wody, gorąca, chmur na zawołanie. Toczy się nieustanny pojedynek między niebem a ziemskimi interesami. Barometr zasmuca, rozchmurza, weseli na przemian fizjonomie. Z jednego końca tej starożytnej ulicy na drugi słowa: „Ależ mamy cudowny czas!” biegną od bramy do bramy. I każdy odpowiada: „Pada deszcz, ale luidorów!” wiedząc, ile mu ich przynosi promień słońca albo deszcz, gdy przyjdzie w porę.

W sobotę koło południa, kiedy jest ładnie, nie dostaniesz ani za grosz towaru u tych dzielnych kupców. Każdy spieszy do swej winnicy, do swojej zagrody i spędza dwa dni na wsi. Tam – skoro wszystko jest przewidziane: kupno, sprzedaż, zysk – kupcy mogą dziesięć godzin dziennie obrócić na wywczasy, na obserwacje, plotki, szpiegowanie się wzajemne. Gospodyni nie kupi kuropatwy, aby sąsiedzi nie spytali męża, czy była dobrze upieczona. Młoda dziewczyna nie wystawi głowy oknem, aby jej nie widziały wszystkie próżnujące grupy. Sumienia są tam przejrzyste, tak samo jak nie mają tajemnic te niedostępne, czarne i milczące domy. Życie upływa przeważnie na powietrzu, każda rodzina siada przed bramą, tam śniada, tam jada, tam się kłóci. Nie przejdzie ulicą nikt, aby mu się nie przyjrano. Toteż niegdyś, kiedy obcy przybywał do miasta na prowincji, drwiono z niego od bramy do bramy. Stąd trefne powiastki, stąd przydomek kpiarzy dawany mieszkańcom Angers, mistrzom w obracaniu językiem.

Dawne pałace starego miasta zajmują górną część tej ulicy, niegdyś zamieszkałej przez okoliczną szlachtę.

Smutny dom, w którym spełniły się wypadki tego opowiadania, był właśnie jednym z takich mieszkań, czcigodnych zabytków epoki, gdy ludzi i rzeczy cechował ów charakter prostoty, którą francuskie obyczaje tracą z każdym dniem.

Idąc zakrętami tej malowniczej drogi, której każdy zaułek budzi wspomnienia i której ogólne wrażenie pograża w zadumie, spostrzegasz dość ciemne zagłębienie, w którym ukryta jest brama domu należącego do pana Grandet. Niepodobna ocenić dźwięku tych słów, o ile się nie zna życiorysu pana Grandet.

Pan Grandet zażywał w Saumur reputacji, której przyczyn i skutków nie zrozumieją osoby obce obyczajom prowincji. Pan Grandet, jeszcze nazywany przez niektórych **ojciec Grandet** (ale liczba tych starców malała z każdym dniem), był w roku 1789 majstrem bednarskim bardzo dostatnym, umiejącym pisać, czytać i rachować. Gdy Republika wystawiła na sprzedaż w okręgu Saumur dobra kleru, bednarz, wówczas liczący czterdzieści lat, ożenił się właśnie z córką bogatego handlarza desek. Grandet, skupiwszy całą swą gotowiznę oraz posag żony – razem dwa tysiące ludwików – udał się do powiatu, gdzie przy pomocy dwustu ludwików, ofiarowanych przez jego teścia surowemu republikaninowi, nadzorującemu sprzedaż dóbr narodowych, nabył za grosze – legalnie, jeżeli nie uczciwie – najpiękniejsze winnice w całym okręgu, stare opactwo i kilka folwarków. Mieszkańcy Saumur nie byli zbyt rewolucyjni; toteż Grandet uchodził za człowieka śmiałego, republikanina, patriotę, za umysł lgnący do nowych idei, podczas gdy bednarz lgnął po prostu do winnicy. Mianowano go członkiem zarządu powiatu Saumur, a pokojowy jego wpływ dał się odczuć politycznie i handlowo. Politycznie – popierał **byłą** szlachtę i całą swoją mocą przeszkodził sprzedaży dóbr emigrantów; handlowo – dostarczył armii republikańskiej tysiąc czy dwa tysiące beczek białego wina i kazał się spłacić wspaniałymi łąkami należącymi do klasztoru. Za konsulatu imć Grandet został merem; zarządzał miastem roztropnie, swą winnicą jeszcze lepiej; za cesarstwa, został **panem Grandet**. Napoleon nie lubił republikanów: zastąpił pana Grandet, który miał opinię eks-jakobina, wielkim właścicielem, szlachcicem, przyszłym baronem cesarstwa. Pan Grandet pożegnał się z honorami gminnymi bez żalu. Przeprowadził – w interesie miasta – znakomite drogi, które wiodły do jego posiadłości. Jego dom i jego dobra, bardzo korzystnie oszacowane, płaciły umiarkowany podatek. Od czasu sklasyfikowania poszczególnych folwarków

winnice Grandeta, dzięki tej nieustannej czujności, stały się **czołem** okolicy: wyrażenie techniczne, na oznaczenie szczepów dających najlepsze wino. Mógłby się ubiegać o krzyż Legii Honorowej.

Działo się to w roku 1806. Pan Grandet miał wówczas pięćdziesiąt siedem lat, a żona jego około trzydziestu siedmiu. Jedyna ich córka, owoc małżeńskiej miłości, miała lat dziesięć. Pan Grandet, którego Opatrzność chciała z pewnością pocieszyć po urzędowej niełasce, odziedziczył kolejno w ciągu tego roku najpierw po pani Gaudinière, z domu La Bertellière, matce pani Grandet; następnie po starym panu La Bertellière, ojcu nieboszczki, i jeszcze po pani Gentillet, babce macierzystej, trzy spadki, których suma nie była znana nikomu. Skąpstwo tych trojga starców było tak wielkie, że od dawna gromadzili pieniądze po to, aby się im przyglądać potajemnie. Stary pan La Bertellière nazywał wszelką lokatę marnotrawstwem, znajdując większe oprocentowanie w widoku złota niż w lichwie.

Saumur oceniało więc sumę oszczędności wedle dochodu z ziemi. Pan Grandet zyskał wówczas nowy tytuł szlachectwa, którego nasza mania równości nie zatrze nigdy; stał się **najwyżej opodatkowanym** w powiecie. Uprawiał sto morgów winnicy, co mu dawało w urodzajnym roku siedemset do ośmiuset beczek wina. Miał trzynaście folwarków, stare opactwo, gdzie przez oszczędność zamurował okna, łuki, witraże, co je ocaliło od zniszczenia. Miał sto dwadzieścia siedem morgów łąk, gdzie rosło wżyz i wszere trzy tysiące topoli zasadzonych w roku 1793. Wreszcie dom, w którym mieszkał, należał do niego. Tak szacowano jego widzialny majątek.

Co się tyczy kapitałów, tylko dwie osoby mogły z grubsza ocenić ich wysokość: jedną był pan Cruchot, rejent trudniący się lichwiarskimi lokatami pana Grandet; drugą pan des Grassins, najbogatszy bankier w Saumur, w którego obrotach winiarz uczestniczył do woli i potajemnie. Mimo że stary Cruchot i des Grassins posiadali ową głęboką dyskrecję, która rodzi na prowincji zaufanie i majątek, okazywali publicznie panu Grandet tyle szacunku, że ludzie mający zmysł spostrzegawczy mogli ocenić wysokość kapitałów eks-mera wedle unizoności, jakiej był przedmiotem. Nie było w Saumur człowieka, który nie byłby przekonany, że pan Grandet ma swój prywatny skarbczyk, schowek pełen luidorów, i że kosztuje nocą niewymownych rozkoszy, jakie daje widok masy złota. Skąpcy mieli niemal pewność tego, widząc oczy starca, którym – zdawałoby się – żółty metal udzielił swej barwy. Wzrok człowieka nawykłego wyciskać ze swoich kapitałów olbrzymi procent nabiera z czasem, jak wzrok rozpusznika, gracza lub dworaka, pewnych nieokreślonych nawyków, drgnień ukradkowych, chciwych, tajemniczych, które nie uchodzą bacności jego współwyznawców. To tajemny język, to jakby wolnomularstwo namiętności.

Pan Grandet budził więc unizony szacunek, do jakiego miał prawo człowiek, który nie był winien nic nikomu nigdy; który jako stary bednarz i stary winiarz zgadywał ze ścisłością astronoma, kiedy trzeba było przygotować na swój zbiór tysiąc beczek, a kiedy tylko pięćset; który nie chybił ani jednej spekulacji, zawsze miał beczki na sprzedaż wtedy, kiedy beczka była warta więcej od spodziewanego zbioru, mógł schować swój zbiór do piwnicy i czekać chwili, aż odda beczkę po dwieście franków, podczas gdy drobni właściciele dawali swoje po sto. Jego słynny zbiór z roku 1811, przezornie zmagazynowany i sprzedawany powoli, przyniósł mu przeszło dwieście czterdzieści tysięcy franków. Mówiąc językiem finansów, pan Grandet miał coś z tygrysa i z węża-dusiciela; umiał się położyć, zwinąć, przyglądać długo swej ofierze, skoczyć na nią; następnie otwierał paszczę swej sakiewki, wchłaniał porcję talarów i kładł się spokojnie jak wąż, który trawi – nieruchomy, zimny, metodyczny. Kiedy przechodził, nikt nie spojrzał na niego bez uczucia podziwu, połączonego z szacunkiem i strachem. Czyż każdy mieszkaniec Saumur nie uczył pazura jego stalowych szponów? Temu rejent Cruchot dostarczył pieniędzy na kupno ziemi, ale na jedenaście od sta³; innemu pan des Grassins przyjął weksle, ale ze strasliwym dyskontem. Mało było dni, w których nazwiska pana Grandet nie wymieniono by czy to na rynku, czy też wieczorem wśród rozmowy. Dla paru osób majątek starego winiarza był przedmiotem patriotycznej dumy. Toteż niejeden kupiec, niejeden

³ na jedenaście od sta (daw.) – określenie procentu kredytu a. zysku. [przypis edytorski]

oberżysta, mówili do obcych z niejakim zadowoleniem: „Proszę pana, mamy tutaj paru milionerów; ale, co się tyczy pana Grandet, on sam nie zna cyfry swego majątku”.

W roku 1816 najwytrawniejsi rachmistrze w Saumur oceniali posiadłości ziemskie starego na blisko cztery miliony; ale ponieważ przeciętnie od 1793 aż do 1817 musiał z nich wyciskać rocznie po sto tysięcy franków, przypuszczalnie więc posiadał w gotowości sumę prawie równą wartości ziemi. Toteż kiedy po partyjce bostona lub po jakiejś pogwarce o winnicach rozmowa zesłała na pana Grandet, ludzie świadomi powiadali: „Stary Grandet?... Stary Grandet musi mieć pięć do sześciu milionów”. „Jesteś pan mądrzejszy ode mnie, bo ja nigdy nie mogłem się doliczyć cyfry” – odpowiadał na to Cruchot albo des Grassins, posłyszawszy te słowa. Kiedy jaki paryżanin mówił o Rotszyldach albo o panu Lafitte, mieszkańcy Saumur pytali, czy są tak bogaci jak Grandet. Jeżeli paryżanin rzucił z lekceważącym uśmiechem odpowiedź twierdzącą, spoglądali po sobie, potrząsając z niedowierzaniem głową.

Tak znaczny majątek okrywał złotym płaszczem wszystkie czynności tego człowieka. Jeżeli zrazu pewne właściwości jego życia wystawiały go na śmieszność i drwiny, z czasem śmieszności i drwiny zużyły się. W najmniejszych swoich postępkach pan Grandet miał za sobą niezachwiany autorytet. Jego słowa, ubranie, gesty, zmrużenie oka były prawem dla okolicy, gdzie każdy, wystudiowawszy go tak jak przyrodnik studiuje działanie instynktu u zwierząt, mógł poznać głęboką i niemą mądrość jego najlżejszego ruchu.

– Zima będzie ostra – powiadano. – Stary Grandet włożył futrzane rękawiczki, trzeba zbierać. Stary Grandet kupuje dużo klepek: będzie wino tego roku.

Pan Grandet nie kupował nigdy mięsa ani chleba. Dzierżawcy jego przynosili mu co tydzień zapas kapłonów, kur, jaj, masła i zboża. Miał młyn, którego lokator musiał, jako dodatek do czynszu, wziąć od niego pewną ilość zboża, a oddać mu otręby i mąkę. **Wielka Nanon**, jego jedyna służąca, mimo że już niemłoda, piekła sama w sobotę chleb dla domu. Pan Grandet ułożył się ze straganiarzami, swymi lokatorami, którzy mu dostarczali jarzyn. Co do owoców, zbierał ich tyle, że znaczną część kazał sprzedawać na targu. Drzewo na opał wycinał u siebie albo też brał ze starych na wpół zgniłych zarośli, które zbierał na skraju swoich pól; dzierżawcy zwozili mu je do miasta, składali przez uprzejmość do drewnutni i zadowalali się podziękowaniem. Jedyne jego znane wydatki to był święcony opłatek, ubranie żony i córki oraz opłata za ich miejsca w kościele; światło, zasługi Wielkiej Nanon, bielenie rondli, podatki, naprawa budynków i koszty uprawy. Miał sześć morgów świeżo nabytego lasu, którego straż poruczył gajowemu sąsiada, przyrzekłszy mu wynagrodzenie. Dopiero od czasu tego nabytku jadał dziczyznę.

Obejście tego człowieka było bardzo proste. Mówił mało. Na ogół wyrażał swoje myśli za pomocą krótkich zdań, wypowiedzianych łagodnie. Od czasu Rewolucji – epoki, w której ściągnął na siebie uwagę – pocziwiec jąkał się w nużący sposób, skoro tylko miał dłużej mówić lub podtrzymać jakąś dyskusję. To jąkanie się, mętność wysłowienia, obfitość słów, w których topił swoją myśl, jego pozorny brak logiki, przypisywany brakowi wykształcenia, były udane i znajdą dostateczne wytłumaczenie w toku tej opowieści. Poza tym cztery zdania, ściśle niby formuły algebraiczne, służyły mu zazwyczaj do objęcia i rozwiązania wszystkich życiowych i handlowych trudności. „Nie wiem, nie mogę, nie chcę, zobaczymy”. Nie powiadał nigdy ani **tak** ani **nie** i nie pisał. Kiedy ktoś do niego mówił, słuchał spokojnie, trzymając podbródek w prawej ręce i wyrabiał sobie w każdej rzeczy zdanie, od którego już nie odstępował. Długo rozważał najmniejszą transakcję. Kiedy po fachowej rozmowie przeciwnik wydał mu sekret swoich planów, myśląc, że go ma w ręku, odpowiadał: „Nie mogę nic postanowić, nie poradziwszy się żony”. Żona, którą doprowadził do kompletnego helotyzmu, była w interesach jego najwygodniejszym parawanem.

Nigdy nie bywał u nikogo; ani nie przyjmował zaproszeń, ani nie zapraszał na obiad; nie robił nigdy hałasu, zdawało się, że oszczędza wszystko, nawet ruch. Nie niszczył nic u innych przez szacunek dla własności. Jednakże mimo łagodności jego głosu, mimo jego umiarkowanego obejścia mowa i obyczaje bednarza zdradzały dobitnie jego charakter, zwłaszcza w domu, gdzie

się mniej kępował. Pod względem fizycznym Grandet liczył pięć stóp wzrostu, krępy, barczysty, z łydkami mającymi dwanaście cali obwodu; przeguby grube, szerokie ramiona, twarz okrągła i smągła, ospowata, podbródek gładki, wargi proste, zęby białe. Oczy miały ów spokojny i drapieżny wyraz, jaki lud przypisuje bazyliškowi; czoło, zmarszczone poprzecznie, posiadało charakterystyczne guzy; żółtawe i siwiejące włosy połyskiwały srebrem i złotem, jak powiadali młodzi ludzie, którzy jeszcze nie znali doniosłości żartu z pana Grandet. Nos, gruby ma końcu, dźwigał żylastą narośl, o której nie bez racji powiadano, że w niej siedzi chytróść starego. Fizys ta zdradzała niebezpieczny spryt, chłodną uczciwość, egoizm człowieka nawykłego skupiać swoje uczucia w rozkoszach skąpstwa oraz w jedynej istocie, która była dla niego czymś: w córce Eugenii, wyłącznej jego spadkobierczyni. Zachowanie, wzięcie, chód, wszystko świadczyło w nim zresztą o owej wierze w siebie, którą daje nawyk ciągłego sukcesu. Toteż, mimo iż na pozór łatwy i miękki, pan Grandet miał charakter ze stali.

Zawsze ubrany był jednako. Kto go widział dziś, widział go takim, jakim był od roku 1791. Grube trzewiki zawiązane na skórzane sznurowadła, szorstkie wełniane pończochy, krótkie spodnie z grubego brunatnego sukna ze srebrnymi sprzączkami, aksamitna kamizelka w żółte i białe prążki, zapięta na dwa rzędy guzików, obszerny, brązowy surdut z wielkimi połami, czarny krawat i kwakerski kapelusz. Rękawiczki, iście żandarmskie, trwały do dwóch lat; aby ich nie brukać, składał je na rondzie kapelusza metodycznym gestem. Poza tym, Saumur nie wiedziało nic więcej o tej osobistości.

Jedynie sześciu mieszkańców miało wstęp do tego domu. Najznaczniejszym z trzech pierwszych był bratanek pana Cruchot. Od czasu swojej nominacji na prezydenta trybunału pierwszej instancji w Saumur, młody ten człowiek przydał do zwykłego Cruchot szlachetniejsze de Bonfons i silił się dać drugiemu nazwisku pierwszeństwo. Podpisywał się już C. de Bonfons. **Strona** na tyle niezręczna, aby go nazwać panem Cruchot, spostrzegła się rychło na audiencji o swej niezręczności. Sędzia popierał tych, którzy go nazywali panem prezydentem, ale najwdzięczniejszym ze swoich uśmiechów nagradzał pochlebców, którzy go tytułowali panem de Bonfons. Pan prezydent liczył sobie trzydzieści trzy lata, posiadał dobra de Bonfons (**Boni Fontis**), dające siedem tysięcy rocznie, czekał na spadek po stryju rejencie i po stryju księdzu Cruchot, kanoniku kapituły św. Marcina w Tours, których obu uważano za ludzi dość bogatych. Ci trzej Cruchot, wspierani znaczną ilością krewniaków, spokrewnieni z dwudziestoma rodzinami w mieście, tworzyli stronnictwo, jak niegdyś Medyceusze we Florencji; i jak Medyceusze, Cruchotowie mieli swoich Pazzi.

Pani des Grassins, matka syna dwudziestotrzyletniego, przychodziła bardzo pilnie na partyjkę do pani Grandet, spodziewając się ożenić swego kochanego Adolfa z panną Eugenią. Pan des Grassins, bankier, popierał energicznie zabiegi żony, oddając tajemne usługi staremu skąpcowi i zawsze przybywając w porę na pole bitwy. Ci trzej des Grassins mieli również swoich stronników, swoich krewniaków, swoich wiernych aliantów.

Ze strony Cruchotów ksiądz, Talleyrand tej rodziny, skutecznie wspierany przez brata swego rejenta, walczył o każdą piędź ziemi z bankierową i silił się zapewnić bogaty mariaż swemu bratankowi. Ta podziemna walka między Cruchotami a des Grassins, której ceną była ręka Eugenii, namiętnie zajmowała rozmaite koła miasta Saumur. Czy panna Grandet wyjdzie za pana prezydenta, czy za pana Adolfa des Grassins? Na to pytanie jedni odpowiadali, że pan Grandet nie da córki ani jednemu, ani drugiemu. Eks-bednarz, żarty ambicją, szuka – powiadano – za zięcia jakiegoś para Francji, któremu trzysta tysięcy franków renty pozwoli przełknąć wszystkie przeszłe, obecne i przyszłe becзки Grandetów. Inni odpowiadali, że państwo des Grassins są szlachtą, że są bardzo bogaci, że pan Adolf jest ładny chłopiec, i że, o ile się nie ma na widoku jakiego siostrzeńca samego papieża, związek tak poczesny winien zadowolić ludzi wyrosłych z niczego, człowieka, którego całe Saumur widziało z heblem w ręku i który w dodatku nosił czerwoną jakobińską czapkę. Najrozsądniejsi robili uwagę, że pan Cruchot de Bonfons ma wstęp do domu o każdej porze, gdy jego rywal bywa tam tylko w niedziele. Jedni twierdzili, że pani des Grassins, jako bardziej zażyła z paniami Grandet niż Cruchotowie, może im zaszcześcić pewne poglądy, które prędzej czy później

wydadzą owoce. Na co drudzy odpowiadali, że ksiądz Cruchot jest człowiek niezmiernie zręczny i że – z jednej strony kobieta, z drugiej ksiądz – partia jest równa. Mają po partii, powiadał dowcipniś z Saumur. Natomiast starzy i wytrawni saumurczycy twierdzili, że Grandetowie są zbyt szczywni, aby wypuścić majątek z rodziny, i że panna Grandet z Saumur wyjdzie za syna pana Grandet z Paryża, bogatego grosisty win. Na co cruchotyści i grassyniści odpowiadali: „Po pierwsze, bracia nie widzieli się ani dwóch razy w ciągu trzydziestu lat. Po wtóre, pan Grandet z Paryża ma wielkie pretensje dla swego syna. Jest merem okręgu, posłem, pułkownikiem Gwardii Narodowej, sędzią trybunału handlowego, nie chce znać Grandetów z Saumur i ma nadzieję skojarzyć się z jakimiś napoleońskimi księżętami.

Czegóż nie opowiadano o młodej herytierze⁴, o której mówiono na dwadzieścia mil wokoło, nawet w dylizansach publicznych między Angers a Blois?

Z początkiem roku 1818, cruchotyści odnieśli widoczną przewagę nad grassynistami. Młody margrabia de Froidfond, zmuszony realizować swoje kapitały, wystawił na sprzedaż majątek Froidfond, słynny ze swego parku, wraz ze wspaniałym zamkiem, folwarkami, rzekami, stawami, lasami, wartości trzech milionów. Rejent Cruchot, prezydent Cruchot, ksiądz Cruchot, wspierani przez swoich popleczników, umieli zapobiec parcelacji. Rejent dobił z młodym człowiekiem cudownego targu, wmawiając weń, że będzie miał masę spraw sądowych z nabywcami, zanim zrealizuje cenę parcel; lepiej sprzedać całość panu Grandet, człowiekowi odpowiedzialnemu, mogącemu zresztą wypłacić się w gotowiznie. Piękne margrabstwo de Froidfond skierowało się do przetyku pana Grandet, który, ku wielkiemu zdumieniu Saumur, wyłożył sam całą sumę, po potrąceniu dyskonta i załatwieniu formalności. Interes ten miał rozgłos aż do Nantes i Orleanu. Pan Grandet odwiedzał swój zamek, przesiadłszy się na wózek, który tam wracał. Rzuciwszy na swą posiadłość okiem właściciela, wrócił do Saumur pewien, że ulokował swoje kapitały na pięć procent i przejęty wspaniałą myślą zaokrąglenia margrabstwa Froidfond przez połączenie z nim wszystkich swoich posiadłości. Potem, aby na nowo napęłnić swój skarbiec, niemal próżny, postanowił wyciąć w pień swoje lasy i spieniężyć topole na łąkach.

Łatwo teraz zrozumieć pełne znaczenie tego słowa: **dom pana Grandet**; ten dom szary, zimny, milczący, położony w górze miasta i zasłonięty ruinami okopów. Dwa filary i sklepienie tworzące oścież bramy, były, jak i dom, z tufu, białego kamienia właściwego brzegom Loary, a tak miękkiego, że przeciętne jego trwanie nie przekracza dwustu lat. Nierówne i liczne dziury, które działanie klimatu wyżłobiło dziwacznie, dawały łukowi i murom bramy wygląd ślimakowatych kamieni architektury francuskiej i niejaki podobieństwo z przedsionkiem więziennym. Nad łukiem znajdowała się długa płaskorzeźba z twardego kamienia, przedstawiająca cztery pory roku, postacie zżarte już i szerniałe. Nad tą płaskorzeźbą wystawała plinta, na której bujała przygodna roślinność; żółte pomurniki, powoje, babka i mała wiśnia, już dosyć wysoka. Masywna dębowa brama, brunatna, wyschła, popękana, wąła na pozór, była wzmocniona systemem spojeń, tworzących symetryczne desenie. Kwadratowe okienko, zakratowane, małe, ale z prętami gęstymi i czerwonymi od rdzy, zajmowało środek drzwi i służyło, aby tak rzec, za punkt oparcia dla młotka, który był do niego przywiązany łańcuszkiem i którym uderzało się w wyszczerzoną główkę dużego gwoźdźca. Ten podługowaty młotek podobny był do wielkiego wykrzyknika: badając go uważnie, antykwaryusz odnalazłby niejaki ślady pociesznej twarzy, którą przedstawiał niegdyś, a którą zatarło długie użycie. Przez to okienko, przeznaczone do rozpoznawania swoich w czasie wojen domowych, ciekawi mogli spostrzec w głębi ciemnej i zielonkawej sieni, kilka zużytych stopni, którymi wchodziło się do ogrodu okolonego malowniczo murem grubym, wilgotnym, pełnym szczelin i mizernych pędów. Mur ten należał do okopów, na których wznosiły się ogrody paru sąsiednich domostw.

⁴ herytiera (daw.) – posażna panna, dziedziczka znacznego majątku. [przypis edytorski]

Na parterze najznacniejszą ubikacją⁵ była sala, do której wejście prowadziło wprost z bramy. Mało kto zna rolę **sali** w miasteczkach prowincji. Jest to zarazem przedpokój, salon, gabinet, buduar i jadalnia; sala jest teatrem życia domowego, wspólnym ogniskiem. Tam balwierz z sąsiedztwa przychodził dwa razy na rok ostrzyć włosy panu Grandet; tam wchodzili dzierżawcy, proboszcz, podprefekt, młynarczyk. Pokój ten, którego dwa okna wychodziły na ulicę, miał podłogę z tarcic; szare ściany ze staroświeckimi gzymsami całe były wyłożone drzewem; sufit tworzyły bale, również malowane szaro, odstępy zaś między nimi wypchane były pośliskimi pakułami. Stary mosiężny zegar, inkrustowany szylkretem, zdobił kominek z białego, grubo rzeźbionego kamienia, nad którym znajdowało się zielonkawe lustro, którego szlifowane brzegi odbijały smugę światła wzdłuż gotyckiej stalowej ramy. Dwa miedziane, złoczone żyrandole zdobiące rogi kominka miały podwójne zastosowanie: kiedy się zdjęło róże, które służyły im za profitki i których łodyga wyrastała z błękitnego marmurowego postumentu zdobnego starą miedzią, piedestał ten tworzył lichtarz na co dzień. Dywanowe obicie starożytnych foteli przedstawiało bajki La Fontaine'a, ale trzeba było wiedzieć o tym, aby odgadnąć treść, tak kolory były wyblakłe, a twarze podziurawione naprawkami. W czterech rogach sali znajdowały się kredensy uwieńczone brudnymi półeczkami. Stary stół do gry, którego wierzch tworzył szachownicę, stał między oknami. Nad tym stołem znajdował się barometr z czarną obwódką i listewkami ze złoczonego drzewa, na którym muchy igrały tak swobodnie, że złocenie stało się mitem. Na wprost kominka dwa pastelowe portrety miały przedstawiać dziadka pani Grandet, starego pana La Bertellière, jako porucznika gwardii francuskiej oraz nieboszczkę panią Gentillet jako pasterkę. Okna były zdobne czerwonymi firankami, podpiętymi jedwabnym sznurem. Zbyteczna ta dekoracja, tak mało harmonizująca z obyczajem Grandetów, nabyta była wraz z domem, tak samo jak tremo, zegar, wyściełane meble i kredensy.

We framudze okna bliżej drzwi stało trzcinowe krzesło, którego nogi wspierały się na podstawkach, aby podnieść panią Grandet na wysokość, z której mogła obserwować przechodniów. Wypełzły⁶ wiśniowy stolik do roboty wypełniał framugę, a krzeselko Eugenii było tuż obok.

Od piętnastu lat wszystkie dni matki i córki upływały spokojnie w tym miejscu w ustawicznej pracy, od kwietnia do listopada. Pierwszego listopada mogły się przenieść na leże zimowe do kominka. W ten dzień dopiero Grandet pozwalał, aby zapalono ogień, który kazał gasić trzydziestego pierwszego marca, nie zważając na pierwsze chłody wiosny ani jesieni. Ogrzewaczka napełniona żarem przynoszonym z kuchni, który przemycała im sprytnie Nanon, pomagała paniom Grandet przetrwać najchłodniejsze ranki i wieczory w kwietniu i październiku. Obie panie miały staranie o całą bieliznę domową i wypełniały tak skrzętnie swoje dni tą pracą, że kiedy Eugenia chciała wyhaftować kołnierzyk dla matki, musiała odkradać czas z godzin snu, oszukując ojca, aby zdobyć światło. Od dawna skąpiec wydzielał świece łojowe córce i Nanon, tak jak wydzielał co rano chleb i prowiant potrzebny na codzienne potrzeby.

Wielka Nanon była może jedyną istotą ludzką zdolną pogodzić się z despotyzmem swego pana. Całe miasto zazdrościło jej państwu Grandet. **Wielka Nanon**, tak nazwana z powodu swego grenadierskiego wzrostu, służyła u Grandeta od trzydziestu pięciu lat. Mimo że brała tylko sześćdziesiąt funtów zasług, uchodziła za jedną z najbogatszych służących w Saumur. Te sześćdziesiąt funtów składane od trzydziestu pięciu lat pozwoliły jej świeżo umieścić cztery tysiące funtów na dożywocie u reagenta Cruchot. Ten owoc długiej i wytrwałej oszczędności Nanon zdawał się olbrzymi. Każda służąca, widząc, że biedna sześćdziesięcioletnia kobieta ma chleb na starość, zazdrościła jej, nie myśląc o ciężkiej niewoli, w jakiej go zdobyła. Mając dwadzieścia dwa lata, biedna dziewczyna nie mogła znaleźć miejsca, tak fizjognomia jej zdawała się odrażająca. Wrażenie to było z pewnością niesprawiedliwe; fizys jej spotkałaby się z pewnością z pełnym uznaniem na ramionach grenadiera gwardii; ale we wszystkim trzeba, jak powiadają, proporcji. Zmuszona opuścić spalony folwark, gdzie

⁵ ubikacja (z łac. *ubicato*: usytuowany, umiejscowiony) – tu: miejsce. [przypis edytorski]

⁶ wypełzły – wypłowiwały, wytarty. [przypis edytorski]

pasła krowy, przybyła do Saumur, aby szukać służby, ożywiona owym zapalem, który nie lęka się niczego.

Stary Grandet zamierzał wówczas się zenić i zakładał gospodarstwo. Ta wzgardzona dziewczyna zwróciła jego uwagę. Znając się jako bednarz na sile fizycznej, wyczuł korzyści, jakie będzie mógł wyciągnąć z żeńskiej istoty o herkulesowej budowie, wspartej na nogach niby sześćdziesięcioletni dąb na korzeniach, silnej w sobie, barczystej, z rękami drwala i z uczciwością równie krzepką jak jej cnota. Ani brodawki strojące tę marsową fizys, ani ceglasta cera, ani żylaste ramiona, ani łachmany Nanon nie przstraszyły bednarza, będącego jeszcze w wieku, w którym serce dostępne jest wzruszeniu. Odział ją, obuł, odkarmił, dał jej pensję i zatrudnił ją, nie znęcając się nad nią zbyt. Znalazłszy takie przyjęcie, Nanon płakała potajemnie z radości i przywiązała się szczerze do bednarza, który zresztą wyzyskiwał ją isticie feudalnie. Nanon robiła wszystko: gotowała, piekła chleb, prała bieliznę w rzece, odnosiła ją na plecach, wstawiała o świcie, kładła się późno, dawała jeść robotnikom w porze winobrania, dozorowała ich; bronila jak wierny pies dobra swego pana; wreszcie, żywiąc doń ślepe zaufanie, poddawała się bez szemrania jego najdzikszyemu kaprysom. W sławnym roku 1811, kiedy winobranie było niezmiernie pracowite, Grandet zdecydował się po dwudziestu latach służby dać Nanon swój stary zegarek; jedyny prezent, jaki kiedy otrzymała od niego.

Mimo że jej dawał swoje stare buty (dobre były na nią!) niepodobna uważać kwartalnej darowizny butów Grandeta za prezent: zanadto były zużyte. Potrzeba uczyniła tę biedną dziewczynę tak skąpą, że w końcu Grandet polubił ją niby psa, a Nanon pozwoliła sobie włożyć na szyję obrozę opatrzoną kolcami, które jej już nie kłuły. Mimo iż Grandet krajał chleb zbyt oszczędnie, nie skarżyła się na to; wesoło uczestniczyła w higienicznych korzyściach, jakie dawał surowy obyczaj domu, gdzie nikt nigdy nie chorował. Przy tym Nanon należała do rodziny: śmiała się, kiedy się śmiał Grandet, smuciła się, marzła, grzała się, pracowała z nim razem. Ileż słodkich pociech mieści się w tej równości! Nigdy pan nie odmawiał służącej winnego grona ani śliwek lub brzoskwiń znalezionych pod drzewem. Podjedz sobie, Nanon, powiadał w latach, w których gałęzie uginały się pod owocami, tak że dzierzawcy musieli nimi karmić świnie.

Dla wiejskiej dziewczyny, która za młodu zaznała tylko złego traktowania, dla biedoty przygarniętej przez litość dwuznaczny śmiech starego Grandet był prawdziwym promieniem słońca.

Zresztą proste serce i ciasna głowa Nanon zdolne były pomieścić tylko jedno uczucie i jedną myśl. Od trzydziestu pięciu lat wciąż widziała samą siebie zjawiającą się pod warsztatem ojca Grandet boso, w łachmanach i wciąż słyszała bednarza, jak jej mówi:

– Czego chcesz, serdeńko?

I wdzięczność jej była ciągle młoda.

Niekiedy Grandet, myśląc o tym, że biedna istota nigdy nie usłyszała najmniejszego pochlebnego słówka, że nie zna żadnego ze słodkich uczuć, jakie budzi kobieta i że będzie mogła stanąć kiedyś przed obliczem Boga czysta jak sama Najświętsza Paniienka, Grandet, zdjęty litością, powiadał, patrząc na nią:

– Poczciwa ta biedna Nanon!

Wykrzyknikowi jego zawsze towarzyszyło nieopisane spojrzenie, jakim mu odpowiadała stara służąca. Słowa te, powtarzane od czasu do czasu, tworzyły od dawna łańcuch nieprzerwanej przyjaźni, której każdy taki wykrzyknik przydawał jedno ogniwo. Ta litość, kryjąca się w sercu Grandeta i brana za dobrą monetę przez leciwą dziewczynę, miała w sobie coś okropnego. Ta okrutna litość skąpca, która rodziła tysiąc rozkoszy w sercu starego bednarza, była dla Nanon jej porcją szczęścia. Któż nie powtórzy: „Biedna Nanon!”. Bóg pozna swoich aniołów po drgnieniach głosu i po ich tajemnych żalach.

Było w Saumur wiele domów, gdzie służące lepiej traktowano, a gdzie mimo to państwo nie mieli żadnej satysfakcji. Toteż pytano powszechnie:

– Co oni robią, ci Grandet, że Nanon taka jest do nich przywiązana? Poszłaby za nich w ogień!

Kuchnia jej, której zakratowane okna wychodziły na podwórze, była zawsze czysta, zmieciona, zimna, prawdziwa kuchnia skąpca, gdzie nic się nie marnowało. Kiedy Nanon pomyślała talerze i statki, kiedy schowała resztki obiadu, zgasiła ogień, wówczas opuszczała kuchnię, oddzieloną sienią od jadalni, i szła do mieszkania prząść przy państwu. Jedna łojówka starczyła na wieczór dla całej rodziny.

Służąca sypiała w głębi sieni, w ciupce oświetlonej małym okienkiem. Tęgie zdrowie pozwalało jej bezkarnie mieszkać w tej norze, skąd mogła słyszeć najłżejszy hałas, dzięki ciszy panującej w dzień i w nocy. Jak brytan pilnujący domu musiała spać tylko na jedno ucho i odpoczywać, czuwając.

Opis innych części mieszkania wiąże się z wydarzeniami tej opowieści; zresztą, opis tej sali, w której odbijał się cały przepych domu, może dać zawczasu obraz nędzy wyższych pięt.

W roku 1819, w połowie listopada, z zapadnięciem wieczoru, Wielka Nanon zapaliła pierwszy raz ogień. Jesień była bardzo piękna. Ów dzień był to dzień uroczysty, dobrze znany cruchotystom i grassynistom. Toteż sześcioro przeciwników gotowało się wyruszyć w pełnym rynsztunku, aby się spotkać w sali i prześcigać się na dowody przyjaźni. Rano całe Saumur widziało panią i pannę Grandet w towarzystwie Nanon, jak udawały się do parafialnego kościoła na mszę; każdy przypomniał sobie, że to jest dzień urodzin panny Eugenie. Toteż obliczając porę, o której obiad się kończył, rejent Cruchot, ksiądz Cruchot i pan C. de Bonfons wyprzedzili państwa des Grassins z powinszowaniami. Wszyscy trzej przynieśli olbrzymie bukiety, zerwane w swoich małych cieplarniach. Nasada bukietu, który miał wręczyć prezydent, była pięknie zawinięta w białą atlasową wstążkę ze złotymi frędzlami.

Rano pan Grandet – wedle zwyczaju obowiązującego w pamiętne dni imienin i urodzin Eugenie – zachodził do niej, gdy była jeszcze w łóżku i wręczał jej uroczyście swój ojcowski upominek, składający się, od trzynastu lat, z rzadkiej sztuki złota. Pani Grandet dawała córce suknię letnią lub zimową, wedle okoliczności. Te dwie suknie oraz sztuki złota, które dostawała na Nowy Rok i w dzień imienin ojca, stanowiły dochodzik sięgający jakichś stu talarów, na którego wzrost Grandet patrzył z przyjemnością. Czyż to nie znaczyło przelewać swoje pieniądze z jednej kieszeni do drugiej i zaprawiać niejako do skąpstwa swoją spadkobierczynię, której kazał czasem zdawać sobie sprawę z jej skarbu, niegdyś pomnażanego przez państwa La Bertellière, powiadając:

– To będzie twój tuzin ślubny.

Tuzin jest to starożytny obyczaj, jeszcze przechowywany święcie w niektórych okolicach w centrum Francji. W Berry, w Anjou, kiedy młoda dziewczyna wychodzi za mąż, rodzina jej lub rodzina męża daje jej sakiewkę, w której znajduje się, zależnie od zamożności, dwanaście sztuk albo dwanaście tuzinów sztuk lub też dwanaście setek sztuk srebra albo złota. Najbiedniejsza pastuszka nie wyszłaby za mąż bez swego tuzina, choćby się miał składać z groszaków. Dziś jeszcze mówią w Issoudun o jakimś tuzinie ofiarowanym bogatej dziedzicze, zawierającym sto czterdzieści cztery złote portugaly. Papież Klemens VII, wuj Katarzyny Medycejskiej, wydając ją za Henryka III, ofiarował jej dwa tuziny starożytnych medali złotych ogromnej wartości.

W czasie obiadu ojciec, rad, że jego Eugenia jeszcze piękniejsza jest w nowej sukni, wykrzyknął:

– Skoro dziś imieniny Eugenie, zapalmy na kominku. To będzie dobra wróżba.

– Panienska z pewnością wyjdzie za mąż w tym roku, ani chybi – rzekła Wielka Nanon, zabierając resztki gęsi, tego bażanta bednarzy.

– Nie widzę dla niej partii w Saumur – odparła pani Grandet, patrząc na męża nieśmiałym wzrokiem, który – zważywszy jej wiek – świadczył o zupełnej niewoli małżeńskiej, w jakiej jęczała biedna kobieta.

Grandet popatrzył na córkę i wykrzyknął wesoło:

– Dziecina ma dziś dwadzieścia trzy lata; trzeba będzie niedługo się nią zająć.

Eugenia i matka wymieniły porozumiewawcze spojrzenie.

Pani Grandet była to kobieta chuda i sucha, żółta jak cytryna, niezręczna, powolna, jedna z tych kobiet, które wydają się stworzone na ofiary tyranii. Miała grube kości, gruby nos, grube

czoło, wyłupiaste oczy i przedstawiała na pierwszy rzut oka podobieństwo z owymi zdębiałymi owocami, które już nie mają soku. Zęby miała czarne i rzadkie, twarz pomarszczoną, brodę w kształcie kalosza. Była to przecacna kobieta, prawdziwa La Bertellière. Ksiądz Cruchot umiał od czasu do czasu powiedzieć jej, że była za młodu wcale niczego i pani Grandet wierzyła mu. Anielska słodycz, rezygnacja owada dręczonego przez dzieci, rzadka pobożność, niezmacona pogoda duszy, dobre serce, zyskiwały jej powszechne współczucie i szacunek. Mąż nie dawał jej nigdy więcej niż sześć franków naraz na drobne wydatki. Mimo że śmieszna na pozór, ta kobieta, która w posagu i w spadkach wniosła Grandetowi więcej niż trzysta tysięcy franków, czuła się zawsze tak bardzo upokorzona zależnością i niewolą, przeciw którym łagodność jej nie pozwalała się buntować, że nigdy nie poprosiła ani o jeden grosz, ani nie uczyniła najmniejszej uwagi przy podpisywaniu aktów, które przedkładał jej rejent Cruchot. Ta niedorzeczna i skryta duma, to szlachectwo duszy wciąż ranionej i deptanej przez męża, górowały w postępowaniu tej kobiety.

Pani Grandet nosiła stale zieloną lewantynową⁷ suknię, którą przywykła kłaść prawie cały rok; dalej dużą białą bawełnianą chustkę, słomkowy kapelusz i prawie zawsze miała na sobie czarny fartuch. Mało wychodząc z domu, niewiele zużywała trzewików. Nigdy nie potrzebowała niczego dla siebie. Toteż Grandet, zdjęty niekiedy wyrzutem i przypominając sobie, ile upłynęło od czasu, jak dał żonie sześć franków, żądał zawsze **na szpilki** dla niej przy sprzedaży rocznego zbioru. Kilka dukatów ofiarowanych przez Holendra lub Belga, nabywcę winobrania, stanowiły najpewniejszy roczny dochód pani Grandet. Ale kiedy dostała swoich pięć dukatów, mąż mówił często, tak jakby mieli wspólną sakiewkę:

– Czy nie mogłabyś mi pożyczyć parę groszy?

I biedna kobieta, szczęśliwa, że może coś uczynić dla człowieka, którego spowiednik przedstawiał jej jako władcę i pana, oddawała mu w ciągu zimy owych parę dukatów otrzymanych na szpilki.

Kiedy Grandet wydobywał z kieszeni pięciofrankówkę przeznaczoną miesięcznie na drobne wydatki, nici, igły i tualetę córki, wówczas, zapiąwszy już surdut, nie omieszkał nigdy zapytać żony:

– A ty, matka, nie potrzebujesz czegoś?

– Pomyślę – odpowiadała pani Grandet, ożywiona uczuciem macierzyńskiej godności.

Stracona wzniosłość! Grandet uważał, że jest bardzo wspaniałomyślny wobec żony. Filozof, który spotka takie Nanon, takie panie Grandet, Eugenie, czy nie ma prawa sądzić, że ironia jest podstawą charakteru Opatrzności?

Po tym obiedzie, w czasie którego pierwszy raz była mowa o małżeństwie Eugenie, Nanon poszła przynieść butelkę nalewki z pokoju pana Grandet i omal nie przewróciła się, wracając.

– Niedorajdo – rzekł jej pan – i ty chcesz upaść tak jak drugie?

– Proszę pana, to ten stopień na schodach się rusza.

– Ona ma rację – rzekła pani Grandet. – Powinieneś go już dawno naprawić. Wczoraj Eugenia o mały włos nie zwichnęła nogi.

– No – rzekł stary Grandet, widząc bladość Nanon. – Skoro to dziś urodziny Eugenie i skoro o mały nie upadła, wypij kieliszek nalewki dla pokrzepienia.

– Dalibóg, zarobiłam na to – rzekła Nanon. – Na moim miejscu niejedna byłaby stłukła butelkę, ale ja prędzej bym sobie złamała rękę, niż bym ją upuściła.

– Biedna Nanon – rzekł Grandet, nalewając jej *cassis*⁸.

– Uderzyłaś się? – rzekła Eugenia, patrząc na nią ze współczuciem.

– Nie, zatrzymałam się, zaparłam się w sobie.

– No więc, skoro to urodziny Eugenie, naprawię wam ten schodek. Wy nie umiecie stapać bokiem, tam gdzie jest jeszcze dobry.

⁷ lewantynowy – z taniego, cienkiego jedwabiu. [przypis edytorski]

⁸ *cassis* – nalewka z czarnych porzeczek. [przypis edytorski]

Grandet wziął świecę, zostawił żonę, córkę i służącą bez innego światła prócz kominka rzucającego żywe blaski i poszedł do drewnitni, aby przynieść deski, gwoździe i narzędzia.

– Pomóc panu? – zawołała Nanon, słysząc, że pan jej tłucze się na schodach.

– Nie, nie; znam się na tej robocie – odparł eks-bednarz.

W chwili, gdy Grandet sam naprawiał spróchniałe schody i gwizdał co sił, przypominając sobie młode lata, trzej Cruchotowie zapukali do drzwi.

– To pan, panie Cruchot? – spytała Nanon, patrząc przez kratę.

– Tak – odparł prezydent.

Nanon otworzyła drzwi. Blask ognia odbijający się od sklepienia pozwolił trzem panom Cruchot znaleźć wejście do sali.

– Ho, ho, panowie z powinszowaniami – rzekła Nanon, czując zapach kwiatów.

– Darujcie, panowie – krzyknął Grandet, poznając głos przyjaciół. – Zaraz idę. Ja tam nie jestem dumny, sam naprawiam stopień na schodach.

– Prosimy, prosimy, panie Grandet; każdy ma prawo burmistrzować w swoim domu – rzekł sentencjonalnie prezydent, śmiejąc się sam z aluzji, której nikt nie zrozumiał.

Pani Grandet i jej córka wstały. Prezydent, korzystając z ciemni, rzekł do Eugonii:

– Czy pozwoli mi pani, w dniu swego urodzenia, życzyć sobie ciągu lat szczęśliwych i kontynuacji zdrowia, którym się cieszysz?

Wręczył bukiet kwiatów rzadkich w Saumur; następnie, ujmując herytierę za łokcie, ucałował ją z obu stron w szyję z zapalem, który zawstydził Eugenię. Prezydent, który podobny był do wielkiego zardzewiałego gwoźdźca, myślał, że w ten sposób zdobywa jej serce.

– Niech się pan nie krępuje – rzekł Grandet, wchodząc. – Jaki pan gorący w uroczyste święta, panie prezydencie!

– Z panną Eugenią – odparł ksiądz Cruchot, uzbrojony w swój bukiet – każdy dzień byłby świętem.

Ksiądz pocałował Eugenię w rękę. Co się tyczy rejenta, ten ucałował po prostu dziewczynę w oba policzki i rzekł:

– Czas leci, mościa panno. Co rok dwanaście miesięcy.

Stawiając z powrotem świecę, Grandet, który nigdy nie poniechał konceptu i powtarzał go do sytości, kiedy mu się zdawał zabawny, rzekł:

– Skoro to urodziny Eugonii, zapalmy świeczniki.

Zdjął starannie ramiona kandelabrow, włożył profitki, wziął od Nanon świeczkę owiniętą w papier, osadził ją w otworze, umocował, zapalił i usiadł koło żony, spoglądając kolejno na przyjaciół, na córkę i na dwie świece.

Ksiądz Cruchot, niewielki człeczyna, pulchny i tłusty, z rudą i płaską peruką, z twarzą wesołej starej kobietki, rzekł, wysuwając nogi obute w grube trzewiki ze srebrnymi kłamrami:

– Czy państwo des Grassins jeszcze nie byli?

– Jeszcze nie – rzekł stary Grandet.

– Ale mają przyjść? – rzekł stary rejent, krzywiąc twarz podziurkowaną jak durszlak.

– Tak myślę – odparła pani Grandet.

– Winobranie skończone? – zwrócił się do Grandeta prezydent de Bonfons.

– Całkiem – odparł stary winiarz, wstając i przechadzając się po sali, przy czym wydymał pierś ruchem tak pełnym dumy, jak to słowo **całkiem**.

Przez drzwi korytarza, który prowadził do kuchni, ujrzał Wielką Nanon przy ogniu, gotującą się siałę do kołowrotka, aby się nie mieszać do zabawy.

– Nanon – rzekł, wychylając się na korytarz. – Zgaś ogień i światło i chodź tu do nas. Do kata, wystarczy przecież sali dla nas wszystkich.

– Ale państwo będą mieli gości.

– A cóżeś ty gorszego od nich? I oni są z żebra Adama, jak i ty.

Grandet podszedł do prezydenta i rzekł:

– Czy pan sprzedał swoje wino?

– Dalibóg nie, zachowam je dla siebie. Jeżeli teraz wino jest dobre, za dwa lata będzie jeszcze lepsze. Właściciele, wie pan o tym, przysięgli sobie utrzymać umówioną cenę: w tym roku Belgowie nie dadzą nam rady. Jeżeli odjadą, ano cóż, to wrócą.

– Tak, ale trzymajmy się dobrze – rzekł Grandet tonem, który przejął dreszczem prezydenta.

„Czyżby on pertraktował?” – pomyślał Cruchot.

W tej chwili uderzenie młotka oznajmiło państwa des Grassins, a przybycie ich przerwało rozmowę rozpoczętą między panią Grandet a księdzem.

Pani des Grassins była to kobietka żywa, pulchna, biała i różowa, z tych, które dzięki surowemu życiu prowincji i cnotliwym przyzwyczajeniom zachowały się jeszcze młodo w czterdziestym roku. Są to niby ostatnie jesienne róże, których widok robi przyjemność, ale których płatki mają jakiś chłód, a zapach ulotnił się. Ubierała się dość dobrze, zapisywała mody z Paryża, dawała ton miastu Saumur i urzędzała wieczory. Mąż jej, eks-kwatermistrz gwardii cesarskiej, ciężko ranny pod Austerlitz i spensjonowany, zachował mimo swego szacunku dla Grandeta pozór wojskowej otwartości.

– Dobry wieczór, Grandet – rzekł do winiarza, podając mu rękę i przybierając ton wyższości, którym miażdżył zawsze Cruchotów. – Panno Eugenio – rzekł do córki, skłoniwszy się wprzód matce – jest pani zawsze piękna i cnotliwa, nie wiem doprawdy, czego można by pani życzyć.

Następnie wręczył małą szkatułkę, którą niósł jego służący, a która zawierała paproć z Przylądka Dobrej Nadziei, kwiat świeżo przywieziony do Europy i bardzo rzadki.

Pani des Grassins ucałowała czule Eugenię, uścisnęła jej rękę i rzekła:

– Adolf wręczy ci mój drobny upominek.

Młody blondyn, blady i wąty, o dość dobrych manierach, nieśmiały na pozór, ale który przepuścił w Paryżu, ponad swoją pensję, osiem czy dziesięć tysięcy franków, posunął się do Eugenie, ucałował w oba policzki i podał jej neseser do robótek z przyborami z pozłacanego srebra, szczerą tandeta, mimo tarczy, na której gotyckie E. G., dosyć starannie wyryte, mogło dawać złudzenie umyślnej roboty. Otwierając puzderko, Eugenia uczuła ową niespodzianą i zupełną radość, od której młode dziewczyny rumienia się i drżą z przyjemności. Popatrzyła na ojca, jak gdyby pytając, czy jej wolno przyjąć, na co pan Grandet rzekł: „Weź, moje dziecko” – tonem, który byłby przyniósł zaszczyt aktorowi. Trzej Cruchotowie stanęli w osłupieniu, widząc radosne i żywe spojrzenie, jakie zwróciła na Adolfa des Grassins bogata dziedziczka, dla której podobny zbytek był czymś niesłychanym.

Pan des Grassins podał staremu Grandet tabakę, wziął też szczyptę, strząsnął ziarenka, które padły na wstążeczkę Legii Honorowej w klapie błękitnego surduta, po czym spojrzął na Cruchotów, jak gdyby mówiąc:

– No, niechże który z was to sparuje!

Pani des Grassins zwróciła oczy na błękitne słoje, w których znalazły się bukiety Cruchotów, szukając z udaną naturalnością ich podarków. W tym drażliwym momencie ksiądz Cruchot opuścił towarzystwo, które siadło w krąg przy ogniu i zaczął się przechadzać w głębi sali ze starym Grandet. Gdy tylko dwaj starcy znaleźli się koło okna w pewnym oddaleniu od państwa des Grassins, ksiądz rzekł do ucha skąpca:

– Ci ludzie wyrzucają pieniądze przez okno.

– Co mi to szkodzi, jeżeli wpada do mojej piwnicy – odparł winiarz.

– Gdybyś pan chciał dać złote nożyczki swojej córce, miałbyś na to środki – rzekł ksiądz.

– Ja jej daję coś lepszego niż nożyczki – odparł Grandet.

„Mój bratanek jest ryfa” – myślał ksiądz, spoglądając na prezydenta, którego zjeżone włosy nie dodawały wdzięku ogorzalej fizjonomii. – „Czy nie mógł wymyślić jakiegoś głupstewka, które miałyby pewną wartość?”

– Zagramy sobie z panią, pani Grandet – rzekła pani des Grassins.

– Jesteśmy wszyscy razem, **mogemy** zrobić dwa stoły...

– Skoro to urodziny Eugenii, zróbcie generalną loteryjkę, dzieci też zagrają.

I stary bednarz, który nie grał nigdy w żadną grę, wskazał córkę i Adolfa.

– No, Nanon, ustaw stoły.

– Pomożemy pannie Nanon – rzekła wesoło pani des Grassins uszczęśliwiona radością, jaką sprawiła Eugenii.

– Nigdy w życiu nie byłam taka szczęśliwa – rzekła posażna jedynaczka. – Nie widziałam czegoś tak pięknego.

– To Adolf przywiózł z Paryża i sam wybrał – szepnęła jej pani des Grassins do ucha.

„Kręć, kręć, przekłeta intrygantko” – powiadał sobie prezydent. – „Spróbujcie tylko mieć jaki proces, nigdy wasza sprawa nie będzie dobra”.

Rejent, siedząc w kącie, patrzył spokojnie na księdza i powiadał sobie:

„Mogą się na głowie postawić, majątek mój, mego brata i mego bratanka wynosi razem milion sto tysięcy. Oni mają co najwyżej pół tego i mają córkę; mogą robić prezenty, jakie zechcą; panna i prezenty, wszystko będzie kiedyś nasze”.

O wpół do dziesiątej ustawiono dwa stoliki. Piękna pani des Grassins zdołała usadowić syna koło Eugenii. Aktorzy tej sceny, pasjonującej, mimo że pospolitej na pozór, opatrzeni w pokratkowane kartki z cyframi i w szklane liczmany, udawali, że słuchają conceptów starego rejenta, który nie przepuścił ani jednego numeru bez jakiegoś dowcipu; ale wszyscy myśleli o milionach starego Grandet. Stary bednarz patrzył z satysfakcją na różowe pióra, na świeżą toaletę pani des Grassins, na marsową głowę bankiera, na Adolfa, prezydenta, rejenta i księdza, i powiadał sobie w duchu:

„Są tutaj dla moich dusiów. Przychodzą się tu nudzić dla mojej córki. He, he, moja córka nie będzie ani dla jednych, ani dla drugich; wszyscy ci ludzie służą mi tylko za wędkę.”

Ta rodzinna zabawa w starym, szarym salonie, licho oświetlonym dwiema świeczkami, te śmiechy, którym towarzyszył kołowrotek Nanon, śmiechy szczere jedynie na ustach Eugenii lub jej matki; te małostki połączone z tak wielkimi interesami; ta młoda dziewczyna, podobna do owych ptaków nieznających swej wysokiej ceny, prześladowana, osaczona znakami przyjaźni, które brała za dobrą monetę – wszystko przydawało tej scenie smutnego komizmu. Czyż to nie jest zresztą scena wszystkich czasów i wszystkich miejsc, ale sprowadzona do swego najprostszego wyrazu?

Twarz Grandeta wyzyskującego fałszywą przyjaźń dwóch rodzin, ciągnącego z niej olbrzymie zyski, górowała nad tym dramatem i oświetlała go. Czyż to nie był jedyny nowoczesny bóg, w którego świat wierzy, Pieniądz w swej wszechpotędze, wyrażony jedną fizjognomią? Szlachetniejsze uczucia grały tam podrzędną rolę; ożywiały trzy czyste serca – Nanon, Eugenii i jej matki. A i to, ileż ciemnoty w ich naiwności! Eugenia i jej matka nie wiedziały nic o majątku Grandeta; szacowały sprawy świata jedynie w świetle swoich białych pojęć; nie ceniły pieniędzy, ani nie gardziły nimi, nawykły się bez nich obchodzić. Ich uczucia, poniewierane bez ich wiedzy, ale żywe, sekret ich istnienia, wszystko to robiło z nich ciekawy wyjątek w tym zebraniu ludzi, których życie było czysto materialne. Okropna dola człowieka! Nie ma dla niego szczęścia, które nie płynęłoby z jakiejś niewiedzy.

W chwili gdy pani Grandet wygrała szesnaście su, największą stawkę, o jaką kiedykolwiek grano w tej sali i kiedy Wielka Nanon śmiała się z uciechy, widząc, że jej pani zgarnia tak potężną sumę, rozległ się młotek u bramy, robiąc taki hałas, że kobiety podskoczyły na krzesłach.

– To nie mieszkaniec Saumur tak puka – rzekł rejent.

– Jak można walić w ten sposób – rzekła Nanon. – Czy on chce rozwalić drzwi?

– Cóż to za kaduk? – wykrzyknął Grandet.

Nanon wzięła jedną z dwóch świec i poszła otworzyć razem z panem Grandet.

– Mężu, mężu! – krzyknęła żona, która parta nieokreślonym uczuciem lęku rzuciła się ku drzwiom.

Wszyscy gracze popatrzyli po sobie.

– Może byśmy tam poszli – rzekł pan des Grassins. – To pukanie wydało mi się jakieś złowróżbne.

Pan des Grassins zaledwie przelotnie dostrzegł fizjognomię młodego człowieka, za którym szedł posługacz z biura dylizansów, niosąc dwie ogromne walizy i wlokąc worki z pościelą. Grandet obrócił się żywo do żony i rzekł:

– Żono, idź do loteryjki. Pozwól mi rozmówić się z panem.

Następnie zatrzasnął żywo drzwi do sali, gdzie podnieceni gracze zajęli z powrotem miejsca, ale już nie grali.

– Czy to ktoś z Saumur? – spytała pani des Grassins męża.

– Nie, to podróżny.

– Może przybywać tylko z Paryża. W istocie – rzekł rejent, wyjmując stary zegarek gruby na dwa palce i podobny do holenderskiego okrętu – jest dziewiąta. Dalibóg, dylizans paryski nie spóźnia się nigdy.

– Czy to młody człowiek? – spytał ksiądz Cruchot.

– Tak – odparł des Grassins. – Ma toboły, które muszą ważyć co najmniej trzysta kilo.

– Nanon nie wraca – rzekła Eugenia.

– To musi być jakiś krewny państwa – wtrącił prezydent.

– Grajmy – rzekła łagodnie pani Grandet. – Poznałam z głosu, że mąż jest poirytowany, może nie byłby rad, widząc że mówimy o jego sprawach.

– Panno Eugenio – rzekł Adolf do sąsiadki. – To będzie z pewnością wasz kuzyn Grandet, przystojny chłopiec, którego widziałem na balu u Nucingenów.

Adolf nie dokończył, bo matka przystąpiła mu nogę; po czym prosząc go głośno o dwa su do puli, szepnęła mu do ucha:

– Siedź cicho, ciemiego.

W tej chwili Grandet wszedł bez Nanon, której kroki wraz z krokami posługacza rozległy się w dziedzińcu. Za nim wszedł podróżny, który od paru chwil wzniewał tyle ciekawości i zaprzętał tak żywo wyobraźnię, że jego przybycie w dom i jego spadnięcie w ten cały światek można by porównać ze ślimakiem w ulu lub z wpuszczeniem pawia na jakieś mizerne wiejskie podwórko.

– Usiądź pan koło ognia – rzekł Grandet.

Zanim usiadł, obcy młodzian skłonił się z wdziękiem zgromadzeniu. Mężczyźni wstali, odpowiadając grzecznym ukłonem; kobiety odkloniły się ceremonialnie.

– Zimno panu – rzekła pani Grandet. – Przybywa pan z pewnością z...

– Oto kobiety – rzekł stary winiarz, przerywając czytanie listu, który trzymał w ręce. – Pozwól panu odpocząć.

– Ależ ojczu, pan może potrzebować czego – rzekła Eugenia.

– Ma język – odparł surowo winiarz.

Jeden tylko nieznajomy zdumiony był tą sceną. Inne osoby przywykły do despotycznego tonu starego. Mimo to, skoro padły te dwa pytania i dwie odpowiedzi, nieznajomy wstał, obrócił się plecami do ognia, podniósł nogę, aby ogrzać podeszwę buta i rzekł do Eugenii:

– Dziękuję ci, kuzynko, jadłem obiad w Tours. I – dodał, patrząc na pana Grandet – nie potrzeba mi niczego, nie jestem nawet zmęczony.

– Pan przybywa ze stolicy? – spytała pani des Grassins.

Pan Karol (tak się nazywał syn paryskiego Grandeta), słysząc to pytanie, wziął małą lornetkę zawieszoną na szyi, przyłożył ją do prawego oka, aby się przyjrzeć temu, co jest na stole i osobom siedzącym przy nim, zlustrował dość impertynencko panią des Grassins i odrzekł, stwierdziwszy wszystko:

– Tak, pani. Grają państwo w loteryjkę; proszę, ciociu, grajcie państwo dalej; to taka wesoła gra, szkoda ją przerywać...

„Byłam pewna, że to kuzynek” – pomyślała pani des Grassins, zerkając na niego.

– Czterdzieści siedem! – wykrzyknął stary ksiądz. – Niechże pani znaczy, pani des Grassins, czy to nie pani numer?

Pan des Grassins położył liczman na karcie swojej żony, która zdjęta smutnymi przecuciami spoglądała kolejno na paryskiego kuzyna i na Eugenię, nie myśląc o loteryjce. Od czasu do czasu młoda dziedziczka rzucała ukradkowe spojrzenia na swego kuzyna, a żona bankiera mogła w nich łatwo odkryć przyływ zdziwienia i ciekawości.

Pan Karol Grandet, piękny dwudziestodwuletni młodzieniec, tworzył w tej chwili szczególny kontrast z poczciwymi prowincjałami, których wyraźnie drażniło jego arystokratyczne wzięcie i którzy obserwowali go, aby się z niego wyśmiewać. To wymaga wytłumaczenia. W dwudziestym drugim roku młodzi ludzie są jeszcze dość bliscy dziecięctwu, aby się bawić dzieciństwami. Tak więc na stu spomiędzy nich znalazłoby się może dziewięćdziesięciu dziewięciu, którzy zachowaliby się tak, jak się zachował Karol Grandet. Na parę dni przed tym wieczorem ojciec oznajmił mu, aby się udał na kilka miesięcy do brata jego do Saumur. Może paryski Grandet myślał o Eugenii? Karol, który zjawiał się na prowincji pierwszy raz, postanowił wystąpić tam z wyższością modnego eleganta, zmiażdżyć cały powiat swoim zbytkiem, stać się tam epoką i wprowadzić wyrafinowania Paryża. Aby wszystko wyrazić jednym słowem, chciał poświęcić w Saumur więcej czasu niż w Paryżu na szlifowanie sobie paznokci i przestrzegać wyszukania stroju, które czasami młody elegant porzuca dla zaniedbania niepozabawionego wdzięku.

Karol zabrał więc najładniejszy strój myśliwski, śliczną fuzję, śliczny kordelas, śliczne futerały paryskie. Wziął z sobą kolekcję najbardziej pomysłowych kamizelek; szare, białe, czarne, złociste, nakrapiane, dziane, pasiaste, szalowe albo proste z wywijanym kołnierzem, zapinane pod szyję, ze złotymi guzikami. Wziął wszystkie odmiany kołnierzyków i krawatów modnych w owej epoce. Wziął dwa fraki od Buissona i najwykwintniejszą bieliznę. Wziął ładny złoty nesoser, upominek matki. Wziął wszystkie błahostki dandysa, nie zapominając czarującego sekretarzyka do pisania, ofiarowanego przez najmilszą z kobiet (dla niego przynajmniej), wielką damę, której mówił **Anetko** i która w tej chwili podróżowała, po małżeńsku, nudnie, po Szkocji, jako ofiara podejrzeń, dla których trzeba było poświęcić na chwilę swoje szczęście. Wziął także dużo ślicznego papieru listowego, aby pisać do niej raz na dwa tygodnie. Słowem, cały arsenał drobiażdżków paryskich, możliwie najkompletniejszy, gdzie od rajtpejczy⁹ służącej jako wstęp do pojedynku, aż do pięknej pary pistoletów, które go kończą, znajdowały się wszystkie narzędzia rolnicze, jakimi młody próżniak posługuje się do orania swego życia. Ojciec polecił mu, aby jechał sam i skromnie; przyjechał więc w dylizansie pocztowym, zatrzymanym dla niego samego, dosyć zadowolony, że nie zniszczy rozkosznego powoziku podróznego zamówionego, aby jechać naprzeciwko Anety, swojej wielkiej damy, która... etc., i z którą miał się spotkać w czerwcu na wodach w Baden.

Karol spodziewał się zastać ze sto osób u stryja, polować konno w stryjowskich lasach, słowem, żyć życiem wielkiego właściciela. Nie spodziewał się, że go zastanie w Saumur, gdzie pytał o niego jedynie po to, aby spytać o drogę do Froidfond; ale dowiedziawszy się, że jest w mieście, spodziewał się, że go znajdzie w pałacu. Aby się godnie pokazać u stryja – w Saumur czy we Froidfond – włożył strój podróży najbardziej zalotny, najskromniej wyszukany, najbardziej **uroczy** – aby użyć wyrazu, który w owej epoce streszczał wszystkie doskonałości przedmiotu lub człowieka. W Tours fryzjer przyszedł zafryzować mu piękne ciemne włosy; zmienił bieliznę, włożył czarny atlasowy krawat skombinowany z okrągłym kołnierzem, aby wdzięcznie uwydatnić swoją białą i uśmiechniętą buzię. Podróżny surducik, na wpół zapięty, rysował kibić i odsłaniał kaszmirową szalową kamizelkę, pod którą znajdowała się druga kamizelka biała. Zegarek, od niechcenia wsadzony do kieszeni, wisiał na krótkim złotym łańcuszku u butonierki. Szare spodnie zapinane były z boku, a deseń haftowany czarnym jedwabiem zdobił szwy. Karol kręcił z wdziękiem laseczką, której złota rzeźbiona

⁹ *rajtpejczy* (z niem.) – pejcz używany do konnej jazdy. [przypis edytorski]

gałka nie kaziła świeżości szarych rękawiczek. Czapeczka była w najlepszym smaku. Paryżanin, tylko paryżanin z najwyższej sfery, mógł się tak ubrać, nie popadając w śmieszność i dać harmonię wszystkim tym głupstewkom, podpartym zresztą dzielną miną człowieka, który ma piękne pistolety, pewne oko i Anetę.

A teraz, jeśli chcecie zrozumieć wzajemne zdumienie Saumurczyków i młodego paryżanina, jeśli chcecie dokładnie ujrzeć żywy blask, jaki elegancja podróżnego rzuciła w krąg w szare cienie sali i twarzy tworzących ten obraz rodzinny, spróbujcie sobie wyobrazić Cruchotów. Wszyscy trzej zażywali tabakę i od dawna nie troszczyli się o to, aby unikać kapek i małych czarnych pyłków, które pstrzyły żabot ich zrudziałych koszul, z wywinętymi kołnierzami i żółtawymi zakładkami. Ich miękkie krawaty związały się w sznurek natychmiast po zawiązaniu. Olbrzymie zapasy bielizny, które pozwalały im prać jedynie co pół roku i trzymać ją po szafach, zostawiały jej czas przybrania szarych i smutnych tonów. Była w tych ludziach doskonała harmonia bezwzględności i starzyzny. Twarze ich, równie zwiędłe jak suknie, były wytarte, równie pomięte jak ich spodnie, zdawały się zużyte, wyschłe i skrzywione. Zupełne zaniedbanie reszty stroju, niedokładnego, nieświeżego, jak zwykle na prowincji, gdzie ludzie dochodzą wreszcie do tego, że przestają stroić się dla siebie wzajem, licząc się z ceną rękawiczek, zgadzało się z obojętnością Cruchotów. Wstręt do mody był jedynym punktem, na którym grassyniści i cruchotyści rozumieli się doskonale.

Kiedy paryżanin przykładał do oczu lornetkę, aby badać osobliwe sprzęty tej sali, belki pułapu, lamperie, na których ślady much wystarczyłyby, aby wypunktować *Encyklopedię metodyczną* i *Monitora*, równocześnie gracze w loteryjkę podnosili nosy i przyglądali mu się z ciekawością, z jaką oglądaliby żyrafę. Pan des Grassins i jego syn, którym wygląd modnisią nie był obcy, przyłączyli się wszelako do zdziwienia swoich sąsiadów; bądź że podlegali nieuchwytnemu działaniu powszechnego nastroju, bądź że potwierdzali go, powiadając swoim krajanom spojrzeniem pełnym ironii:

– Patrzcie, tacy są ci paryżanie.

Mogli zresztą obserwować Karola swobodnie, bez obawy narażenia się panu domu. Grandet był pogrążony w długim liście, który trzymał w ręce; dla odczytania go, wziął jedyną świecę ze stołu, nie troszcząc się o gości ani o ich zabawę.

Eugenia, której typ podobnej doskonałości – tak stroju, jak osoby – był zupełnie nieznaną, brała kuzyna za jakąś istotę, która zstąpiła z niebiańskich regionów. Oddychała z rozkoszą zapachem, jaki wydzielają te lśniące i kręcące się tak wdzięcznie włosy. Chciałaby dotknąć białej skóry tych ślicznych cieniutkich rękawiczek. Zazdrościła Karolowi jego małych rąk, jego cery, świeżości i delikatności rysów. Wreszcie – o ile ten obraz może streścić wrażenia, jakie młody elegant zrobił na młodej dziewczynie zajętej bez ustanku naprawianiem pończoch, łataniem garderoby ojca, dziewczynie, której życie upłynęło pod tymi brudnymi firankami, z widokiem rzadkich przechodniów oglądanych raz na godzinę w tej cichej ulicy – obraz kuzyna obudził w jej sercu wzruszenia owej subtelnej rozkoszy, jaką budzą w młodym człowieku fantastyczne twarze kobiet, rysowane przez Westalla w *Keepsake* angielskim i wyryte przez Findena rylcem tak zręcznym, że człowiek się obawia, aby, dmuchnąwszy na welin, nie zdmuchnął tych niebiańskich zjawisk.

Karol wyjął z kieszeni chusteczkę wyhaftowaną przez wielką damę podróżującą po Szkocji. Widząc to arcydzieło wypracowane z miłością w godzinach straconych dla miłości, Eugenia spojrzała na kuzyna, aby sprawdzić, czy on go naprawdę użyje. Maniery Karola, jego ruchy, sposób, w jaki ujmował lornetkę, jego rozmyślna furfanteria, wzgarda dla neseseru, który tak olśnił bogatą dziedziczkę, a który wydał mu się oczywiście śmiesznym gratem, słowem – wszystko, co raziło państwa Cruchotów i des Grassins, podobało jej się tak bardzo, że nim zasnęła, długo musiała marzyć o tym feniksie kuzynków.

Numery ciągnięto wolno, ale niebawem przerwano loteryjkę. Weszła Wielka Nanon i rzekła głośno:

– Proszę pani, trzeba dać prześcieradła na pościel dla tego pana.

Pani Grandet udała się za Nanon. Pani des Grassins rzekła wówczas cicho:

– Odbierzmy stawki i skończmy loteryjkę.

Każdy wyjął dwa su ze starego wyszczerbionego spodka, gdzie je włożył, po czym towarzystwo wstało gromadnie i zbliżyło się do ognia.

– Skończyliście? – rzekł Grandet, nie przerywając sobie czytania.

– Tak, tak – rzekła pani des Grassins, siadając koło Karola.

Eugenia, kierowana jedną z owych myśli, które rodzą się w sercu młodych dziewcząt, kiedy uczucie zagości w nich raz pierwszy, opuściła salę, aby pomóc matce i Nanon. Gdyby ją wziął na spytki zręczny spowiednik, z pewnością by się przyznała, że nie myślała ani o matce, ani o Nanon, ale że ją dręczyła nieprzeparta chęć rzucenia okiem na pokój kuzyna, aby się zająć jego poduszką, poprawić to i owo, ustrzec przed jakimś zapomnieniem, aby wszystko przewidzieć i uczynić pokój, o ile możebna, wykwintnym i czystym. Eugenia czuła już, że ona jedna zdolna jest pojąć gust i myśli kuzyna. W istocie przybyła bardzo szczęśliwie, aby dowieść matce i Nanon, które wracały, myśląc, iż zrobiły wszystko, że wszystko jest dopiero do zrobienia. Poddała Wielkiej Nanon myśl, aby wygrzać prześcieradła; sama przykryła stół serwetą i poleciła pilnie służącej, aby zmieniała tę serwetę co rano. Przekonała matkę o konieczności rozpalenia dobrego ognia na kominku i skłoniła Nanon, aby, nic nie mówiąc ojcu, wniosła duży pęk drzewa na korytarz. Wywlekła z jakiegoś kąta jadalni tackę ze starej laki, pochodzącą z sukcesji po nieboszczyku La Bartellière; wzięła także stamtąd rżniętą kryształową szklankę, wypełzłą złoconą łyżeczkę, starożytny flakon, na którym były wyrzeźbione amorki i ustawiła wszystko triumfalnie na kominku. Więcej się w niej zrodziło myśli w ciągu kwadransa, niż ich miała od czasu, jak żyła na świecie.

– Mamo – rzekła – kuzyn nie będzie mógł znieść zapachu łożówki. Gdybyśmy kupili świecę?...

Poszła lekka jak ptaszek wyciągnąć z sakiewki talara, którego otrzymała na miesięczne wydatki.

– Masz, Nanon, leć prędko.

– Ale co powie ojciec?

Tę strasliwą wątpliwość podniosła pani Grandet, widząc córkę uzbrojoną w cukierniczkę ze starej sewskiej porcelany, przywiezioną przez pana Grandet z zamku Froidfond.

– Skądże ty weźmiesz cukru? Oszalałaś?

– Mamo, Nanon kupi i cukru razem ze świecą.

– Ale ojciec?

– Czyby to było przyzwoite, żeby jego bratanek nie mógł się napić szklanki wody z cukrem? Zresztą, ojciec nie będzie widział.

– Ojciec widzi wszystko – rzekła pani Grandet, potrząsając głową.

Nanon wahała się, znała swego pana.

– Ależ idź, Nanon, skoro to moje urodziny.

Nanon parsknęła grubym śmiechem, słysząc pierwszy żart, jaki młoda jej pani popełniła w życiu i usłuchała. Podczas gdy Eugenia i jej matka siliły się upiększyć pokój przeznaczony przez pana Grandet dla jego bratanka, Karol stał się przedmiotem względów pani des Grassins, która mizdrzyła się do niego.

– Jest pan bardzo odważny – rzekła. – Opuszczać rozkosze zimowe stolicy po to, aby zagrzebać się w Saumur! Ale jeżeli pana widok nasz nie przestraszył zbytnio, zobaczy pan, że i tu można się bawić.

Puściła do niego iście prowincjonalne oko. Z przyzwyczajenia na prowincji kobiety nakładają oczom swoim tyle rezerwy i oględności, że dają im jakąś łakomą pożądlivość, podobną oczom księży, którym wszelka przyjemność zda się kradzieżą lub grzechem. Karol czuł się tak obco w tej sali, tak daleko od obszernego zamku i sutej egzystencji, jaką przypuszczał zobaczyć u stryja, że, przyglądając się bacznie pani des Grassins, ujrzał wreszcie na wpół wyblakły obraz paryskich twarzy. Odpowiedział z wdziękiem na to pośrednie zaproszenie; wywiązała się rozmowa, w której pani des Grassins zniżała stopniowo głos, aby go dostroić do charakteru wynurzeń. Była u niej i u Karola

jednakowa potrzeba zwierzeń. Toteż, po paru chwilach zalotnej rozmowy i żarcików serio, zręczna mieszkanka prowincji mogła mu powiedzieć bez obawy, aby jej słowa doszły uszu innych osób, które mówiły o sprzedaży wina – przedmiocie obchodzącym w tej chwili całe Saumur:

– Jeżeli pan raczy nas odwiedzić, sprawi pan z pewnością tyleż przyjemności memu mężowi, co mnie. Nasz salon jest jedyny w Saumur, gdzie pan spotka wraz wielkie kupiectwo i szlachtę. Należymy do obu tych towarzystw, które chcą się spotykać tylko w naszym domu, bo się tam bawią. Mój mąż – mówię to z dumą – cieszy się jednakim poważaniem u jednych i u drugich. Toteż postaramy się obronić pana od nudów. Gdyby pan tkwił u pana Grandet, Boże, cóż by się z panem stało! Stryj pański to kutwa, który myśli tylko o swoim winie, stryjenka to dewotka, która nie umie skleić dwóch myśli, a pańska kuzynka to gąska bez wychowania, pospolita, bez posagu, która trawi życie na cerowaniu ścierek.

„Niczego kobietka” – powiadał sobie w duchu Karol, odwzajemniając przymilne minki pani des Grassins.

– Zdaje mi się, żono, że ty chcesz wziąć pana w niewolę – rzekł, śmiejąc się, gruby bankier.

Na tę uwagę rejent i prezydent rzucili jakieś uszczypliwe słówka, ale ksiądz, spojrzawszy na nich chytrze, streścił ich myśli, biorąc niuch tabaki i podając w krąg tabakierkę:

– Któż by lepiej od pani – rzekł – mógł temu młodemu panu robić honory Saumur.

– He, he, jak to ksiądz rozumiesz? – spytał pan des Grassins.

– W sensie najzaszczytniejszym dla pani, dla miasta Saumur i dla młodego pana – odparł chytry starzec, obracając się w stronę Karola.

Nie zwracając na nich na pozór najmniejszej uwagi, ksiądz Cruchot umiał odgadnąć rozmowę Karola i pani des Grassins.

– Proszę pana – rzekł wreszcie Adolf do Karola tonem, który silił się na swobodę. – Nie wiem, czy pan mnie sobie przypomina, miałem przyjemność być pańskim *vis à vis* na balu u baronostwa de Nucingen...

– Ależ tak, oczywiście – odparł Karol zdziwiony, że jest przedmiotem uwagi całego towarzystwa.

– To pani syn? – spytał pani des Grassins.

Ksiądz popatrzył złośliwie na matkę.

– Tak – rzekła.

– Bardzo pan młodo był w Paryżu – dorzucił Karol, zwracając się do Adolfa.

– Cóż pan chce – rzekł ksiądz. – Wyprawiamy ich do Babilonu tuż po odłączeniu.

Pani des Grassins objęła księdza spojrzeniem zdumiewająco głębokim.

– Trzeba znać prowincję – ciągnął dalej kanonik – aby spotkać kobiety trzydziestokilkuletnie równie świeże jak pani, mające synów, którzy są licencjatami prawa. Zdaje mi się, że jeszcze widzę ów wieczór, kiedy to młodzi ludzie i damy wchodzili na krzesła, aby patrzeć, jak pani tańczy – ciągnął ksiądz, zwracając się w stronę swego żeńskiego przeciwnika. – Dla mnie pani sukcesy są tak żywe, jakby to było wczoraj...

„Och, stary ladaco” – rzekła w duchu pani des Grassins – „czyżby on mnie przejrzał?”

„Zdaje się, że będę miał wielkie powodzenie w Saumur” – rzekł sobie Karol, rozpinając surdut, zakładając rękę za kamizelkę i puszczając wzrok w przestrzeń w pozie, jaką lordowi Byronowi dał Chantrey.

Nieuwaga starego Grandet lub raczej zajęcie, z jakim zagłębił się w liście, nie uszły bacności ani rejenta, ani prezesa, którzy starali się odgadnąć treść pisma z niedostrzegalnych drgnień twarzy winiarza, w tej chwili silnie oświeconej świeczką. Winiarz utrzymywał z trudem spokój fizjonomii. Zresztą każdy może sobie wyobrazić tajone wzruszenia tego człowieka, kiedy czytał ten nieszczęsny list.

„Mój bracie, będzie niebawem dwadzieścia trzy lata, odkąd się nie widzieliśmy. Ostatnim przedmiotem naszego spotkania było moje małżeństwo, po

którym rozstaliśmy się wesoło. To pewne, iż nie mogłem wówczas przewidywać, że ty będziesz kiedyś podporą rodziny, której pomyślność wówczas podziwiałeś. Kiedy ten list znajdzie się w twoich rękach, mnie już nie będzie. W położeniu, jakie zajmowałem, nie chciałem przeżyć hańby bankructwa. Trzymałem się do ostatniej chwili na skraju przepaści, wciąż mając nadzieję, że się utrzymam. Trzeba runąć! Połączone bankructwo mego agenta giełdowego i mego rejenta Roguin¹⁰ unoszą moje ostatnie zasoby i nie zostawiają mi nic. Ku mej rozpacz, winien jestem blisko cztery miliony, mogąc przedstawić ledwo dwadzieścia pięć procent aktywów. Wina moje, zamagazynowane, przechodzą w tej chwili rujnącą zniżkę wskutek obfitości i jakości waszych zbiorów. Za trzy dni Paryż powie: »Grandet był łajdakiem«. Obleką mnie, uczciwego człowieka, w całun hańby.

Wydieram synowi i nazwisko, które plamię, i majątek jego matki. Nie wie nic o tym ten biedny chłopiec, którego ubóstwiam. Pożegnaliśmy się czule. Nie wiedział, na szczęście, że ostatnie krople mego życia wyciekały w tym pożegnaniu. Czy nie będzie mnie kiedyś przeklinał? Mój bracie, mój bracie, przekleństwo dzieci to straszna rzecz; one mogą apelować od naszych przekleństw, ale ich klątwa jest nieodwołalna.

Słuchaj, jesteś moim starszym bratem, winien mi jesteś pomoc: spraw, aby Karol nie rzucił gorzkiego słowa na mój grób. Mój bracie, gdybym do ciebie pisał krwią i łzami, nie byłoby w tym więcej bólu, niż go wkładam w ten list: wówczas płakałbym, krwawiłbym się, byłbym trupem, nie cierpiałbym już więcej; ale cierpię i patrzę na śmierć suchym okiem. Jesteś więc ojcem Karola. Nie ma rodziny ze strony matki, wiesz czemu. Czemuż nie usłuchałem przesądów społecznych? Czemu uległem głosowi miłości? Czemu zaślubiłem naturalną córkę magnata? Karol nie ma rodziny. O, mój synu, mój synu nieszczęśliwy!

Słuchaj, bracie, nie błagałem cię o nic dla siebie; zresztą majątek twój nie jest może dość znaczny, aby wytrzymać obciążenie trzech milionów; ale błagam cię dla syna! Wiedz to, mój bracie: ręce moje złożyły się błagalnie z myślą o tobie. Bracie, umierając, powierzam ci Karola. Patrzę na swoje pistolety bez bólu, z myślą, że ty posłużysz mu za ojca. Karol mnie bardzo kochał; byłem dla niego taki dobry, nie sprzeciwiałem mu się nigdy, nie będzie mnie przeklinał. Zresztą, zobaczysz go; on jest łagodny, wdał się w matkę, nie sprawi ci nigdy zmartwienia. Biedne dziecko, przywykł do zbytku, nie zna żadnego z wyrzeczeń, na które nas obu skazała nędza naszych młodych lat. I oto jest zrujnowany... samotny. Tak, wszyscy przyjaciele odwrócą się od niego; i to ja będę przyczyną jego upokorzeń. Ach, chciałbym mieć ramię dość silne, aby go wysłać jednym ciosem do nieba, do matki. Szaleństwo!

Wracam do mego nieszczęścia, do nieszczęścia Karola. Posłałem go zatem do ciebie, byś go przygotował oględnie i do mojej śmierci, i do jego przyszłego losu. Bądź ojcem dla niego, ale dobrym ojcem. Nie wyrywaj go zbyt nagle z próżniaczego życia, zabiłbyś go. Błagam go na kolanach, aby się zrzekł wiarygodności, do jakich mógłby rościć sobie prawo jako spadkobierca swojej matki. Ale to zbyt duża prośba; on ma honor i odczuje, że nie powinien się przyłączać do moich wierzyteli. Zrób, aby we właściwym czasie zrzekł się sukcesji po mnie. Poucz go o twardych warunkach życia, na jakie go skazuję, a jeśli zachowa czułość dla mnie, powiedz mu w moim imieniu, że nie wszystko dla niego stracone. Tak, praca, która ocaliła nas obu, może mu wrócić fortunę, którą mu wydieram, o ile zechce słuchać głosu ojca, który chciałby dla niego wstać na chwilę z grobu.

¹⁰ *rejent Roguin* – [postać występuje też w innej powieści Balzaka; red. WL] *Cezar Birotteau*. [przypis tłumacza]

Niech jedzie, niech się puści do Indii. Mój bracie, Karol jest chłopak uczciwy i dzielny. Kupisz mu ładunek towaru; raczej umarłby, niż miałby ci nie oddać funduszu, który mu pożyczysz, bo pożyczysz mu, bracie, inaczej ścigałyby cię wyrzuty. Och, gdyby moje dziecko nie znalazło u ciebie pomocy ani serca, prosiłbym wiecznie pomsty u Boga za twoją nieczułość. Gdybym mógł ocalić trochę gotowizny, byłbym mu wręczył jakąś kwotę na poczet majątku matki; ale wypłaty z końca miesiąca pochłonęły wszystkie moje zasoby.

Nie chciałbym umierać w niepewności co do losu mego dziecka; chciałbym czuć święte obietnice w uścisku twojej ręki; ale brak mi czasu. Podczas gdy Karol będzie w drodze, muszę sporządzić bilans. Staram się dowieść rzetelnością swego upadku, że nie było w tej kłęsce ani mojej winy, ani nieuczciwości. Czyż to nie znaczy pracować dla Karola? Bądź zdrow, bracie. Niech wszystkie błogosławieństwa Boga spłyną na ciebie za wspaniałomyślną opiekę, którą ci powierzam i którą przyjmiesz, nie wątpię o tym. Jest głos, który będzie się modlił za ciebie bez ustanku na owym świecie, w którym wszyscy mamy się znaleźć kiedyś i gdzie ja już jestem”.

Wiktor Anioł Wilhelm Grandet

– Rozmawiacie państwo? – rzekł stary Grandet, składając starannie list i chowając go do kieszeni.

Popatrzył na bratanka z miną pokorną i nieśmiałą, pod którą skrywał swoje wzruszenia i rachuby.

– Ogrzałeś się?

– Wybornie, drogi stryjasku.

– No i co, a gdzież są kobiety? – rzekł stryj, zapominając już, że bratanek nocuje u niego. W tej chwili Eugenia i pani Grandet weszły.

– Wszystko przygotowane na górze? – spytał stary, odzyskując spokój.

– Tak, ojczce.

– No i cóż, chłopcze, jeżeli jesteś zmęczony, Nanon zaprowadzi cię do twego pokoju. Ba, ba, to nie będzie apartament fircyka, ale darujesz biednym winiarzom, którzy nigdy nie śmierdzą groszem. Podatki zjadają wszystko.

– Nie chcemy być natrętni, Grandet – rzekł bankier. – Może masz do pogadania z bratankiem, życzymy wam dobrej nocy. Do jutra.

Na te słowa zebrani wstali, każdy ukłonił się na swój sposób. Stary rejent poszedł do sieni po latarkę i zapalił ją, ofiarując się państwu des Grassins z odprowadzeniem. Pani des Grassins nie przewidziała wypadku, który miał zakończyć tak wcześnie wieczór i służący jej nie zjawił się jeszcze.

– Zrobi mi pani ten zaszczyt, aby przyjąć moje ramię? – rzekł ksiądz Cruchot do pani des Grassins.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.